



Teresa Maria Klimek

część II z V

Sygnatura notacji: **N0081**
Data urodzenia: **11.10.1929 r.**
Data nagrania: **18, 19.09.2007 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Gorzów Wielkopolski, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Wanda Milewska**
Czas nagrania: **cz. I: 55 min, cz. II: 59 min, cz. III: 25 min, cz.IV: 59 min, cz.V: 58 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Teresa Maria Klimek: Solidarność oświaty, sekcja oświaty interesowała mnie trochę mniej, okazuje się. A bardziej mnie zainteresowała sekcja praworzędności. Tak że po prostu Komitet Obrony Więzionych za Przekonania. A także Patronat. To była organizacja, która powstała w Warszawie, i ja dojeżdżałam do Warszawy na spotkania Patronatu. Do Patronatu należał ksiądz Jan Zieja, więc cudowny człowiek, należał obecny Krzysztof Piesiewicz, obecny senator, należało w ogóle bardzo wiele takich osób ciekawych. Niestety odbyły się tylko chyba trzy albo cztery spotkania Patronatu w Warszawie i próbowałam, żeby przeschodzić Patronat na grunt Gorzowa. Patronat to było reaktywowanie organizacji, która istniała przed wojną, która miała na celu pomagać więźniom. Niekoniecznie więźniom politycznym, ale także wszystkim, wszystkim, którzy są w więzieniu. Bo właśnie, jak zainteresowałam się Komisją Praworzędności, to za pomocą Staszka Żytkowskiego udało mi się wejść do więzienia w Wawrowie. Żeby po prostu nawiązać kontakt z naczelnikiem więzienia i sprawdzić z ramienia Solidarności, jakie są warunki w więzieniu. Akurat w więzieniu jako wychowawca pracował po ukończonym AWF-ie mój jeden były wychowanek, uczeń i po prostu także przy okazji nawiązałam z nim kontakt. On tam pracował jako wychowawca, a także z panią psycholog, która pracowała... bardzo ciekawy kontakt do dzisiaj utrzymujemy ze sobą. I właśnie, i te wszystkie więzienne zwyczaje, więzienne grysowania, co można zrobić, żeby ci ludzie wracali do społeczeństwa, a nie wracali do społeczeństwa, żeby popełnić nowe przestępstwo i z powrotem pójść do więzienia. I to był mój jakiś taki problem, który mnie zajmował. Potem naczelnik zadzwonił do mnie, że miał ogromny jakiś kłopot z tym, że pozwolił mi wejść do więzienia, ale to już było po fakcie. Już co mogłam, to tam obejrzałam, zobaczyłam i wyszperałam. Potem starałam się działać właśnie w tym Patronacie, bo wtedy bym miała jakąś oficjalną przepustkę do więzień i bym mogła tam chodzić właśnie przez ten Patronat, który to miał na celu. Zresztą o Patronacie to mogę powiedzieć, że Patronat istniał także przez całą okupację niemiecką.

Dopiero został zlikwidowany po wojnie. Czyli to była przedwojenna organizacja, istniała, Niemcy jej nie zlikwidowali, pozwalali tym z Patronatu czasami wejść i coś pomóc, przynieść nawet do więzień różne pożywienia, różne jakies żywnościowe czy inne artykuły, a dopiero w PRL-u została zlikwidowana. I właśnie udało się reaktywować, ale tylko dla miasta Warszawy. I teraz myśmy robili starania dopiero, żeby po prostu statut tak sformułować, jakoś zmienić zapis w statucie, żeby mogły powstawać filie w terenie. Tam też spotkałam taką Olę Saratę, z którą potem spotkałam się w Gołdapi, w czasie internowania, i ona też działała w tym Patronacie. No niestety stan wojenny to wszystko jakby uciął, to wszystko zostało zawieszane albo w ogóle zniesione. Tak że nie na wiele to się zdało, ale zawsze jeszcze przynajmniej w Gorzowie, tutaj, przy zarządzie regionu wydawałam taki biuletyn Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania. I kilka numerów wyszło tego biuletynu. I tam mówiliśmy, w tym biuletynie, jakoś o więzieniach stalinowskich, o więzieniach z czasu przed 1956 roku, o więzionych, o rozstrzelanych, podawaliśmy fakty, które były, a które po prostu były zakryte jako białe plamy. To było przed stanem wojennym. W związku z tym miałam kłopoty trochę, że już byłam wzywana wtedy przed stanem wojennym na SB, tu, w Gorzowie, na ulicę Teatralną jeszcze, i ciekawe było, bo przyszłam, a tu pan major Alfred Siwek, mój wychowanek. I on mówi: „O, pani profesor, ja tylko proszę, żeby pani tego nie robiła wszystkiego” i tak dalej, niech pani się tym nie zajmuje, niech pani tam, tego... „Pani mnie tak dobrze wychowała”. Ja mówię: „Nie tak bardzo dobrze, jak pan tu pracuje”. I taka była między nami rozmowa. Tak że różne były takie ciekawe zbiegi okoliczności.

Wanda Milewska: A jak ta rozmowa wyglądała?

Teresa Maria Klimek: No właśnie w ten sposób. On niby mnie przekonywał, żebym ja tego nie robiła, i że po co ja się tym zajmuję, jakbym się zajmowała oświatą tylko, bo że to... Tak dobrze mi życzył. No tak było. Takie ciekawostki.

Wanda Milewska: Co jeszcze sprzed stanu wojennego?

Teresa Maria Klimek: Tak, sprzed stanu wojennego. Najlepiej pracowało nam się z Edkiem Borowskim. To był rzeczywiście człowiek, którego można było nazwać przyjacielem. To był człowiek, który myślał przede wszystkim o innych, a zawsze najmniej myślał o sobie. I pamiętam te jego długie dyskusje, jakieś z nim odbywane, i jakieś rozmowy. Ale wtedy to może było mniej czasu na rozmowy. Zawsze trzeba było gdzieś jechać, gdzieś coś zrobić, to jakiś niepokój w jakimś zakładzie, to też Edek mówi: „Teresa, chodź, idziemy, zobaczymy, co tam się dzieje”. Ja raczej byłam małomówna, nie byłam taka przemawiająca, z tych przemawiających, z tych elokwentnych, ale jakoś pomagałam swoją obecnością, tak twierdzili. Nie wiem dlaczego. Dość często gdzieś wyjeżdżałam też do zakładów pracy. A ja się cieszyłam, bo nawiązywałam kontakt z tymi robotnikami, do których miałam zawsze jakiś taki stosunek ciepły w zasadzie, bo pamiętam, jak mój dziadek właśnie, on zawsze miał bardzo ciepły stosunek do robotników i robotnicy przychodzili do nas do domu i czuli się chyba bardzo dobrze też. W zakładach mechanicznych byłam najbardziej, najczęściej, i jeszcze w jakichś takich mniejszych zakładach. W Stilonie nie. Już tam po prostu jakoś nie... Nie byłam jakoś tak związana ze Stilonem i mniej może. Proszę?

Wanda Milewska: W Ursusie, tak?

Teresa Maria Klimek: W Ursusie, tak. W tym Ursusie. To najbardziej. Tym bardziej, że to było blisko mojej szkoły i w ogóle, gdy miał być strajk generalny, to właśnie miałam przejść na teren Ursusa jako strajkująca. To już byłam tak jakby przypisana temu. Stan wojenny, no rzeczywiście ta Solidarność działała bardzo krótko, trzeba przyznać.

Wanda Milewska: A jak strajki były, to była pani na terenie tego zakładu?

Teresa Maria Klimek: Więc przede wszystkim tak. Gdy wybuchł stan wojenny, to ja nie wiedziałam o tym. Byłam na rekolekcjach Klubu Inteligencji Katolickiej w Rokitnie. Prowadził ksiądz biskup Socha. I myśmy nie wiedzieli w ogóle, że jest stan wojenny. Sobota, no to nikt nie wiedział prawie. Niedziela, my nie wiemy nadal. Kończą się rekolekcje... Proszę?

Wanda Milewska: Nie słuchaliście radia?

Teresa Maria Klimek: Nic, ani radia nas nie ciekawiły, ani telewizją, ani radio, ani nic. Dopiero idziemy, bo to piechotą się szło do dworca kolejowego, przez ten laszek idziemy, i też nic. Laszek jak laszek, wesoło, przyjemnie...

Wanda Milewska: A przypomnijmy, Rokitno to jest sanktuarium tam jest.

Teresa Maria Klimek: Tak. Rokitno, sanktuarium, w którym był budowany wtedy dom rekolekcyjny, jeszcze był taki nie całkiem wybudowany, jeszcze było tak trochę na świeżo i zimno, i jakoś... Teraz to jest naprawdę wspaniały dom rekolekcyjny. I dopiero widzimy, jadą czołgi, tą szosą na Poznań. Jadą czołgi. Co? Czołgi. Nie wiadomo, dlaczego. Dopiero przychodzimy na stację kolejową, kupujemy bilet i dopiero kasjerka nam mówi, że jest stan wojenny. I ja wtedy, nie, to niemożliwe. Stan wojenny? Niemożliwe. Jak to stan wojenny? Absolutnie nie może być stan wojenny. Nie chciałam w to uwierzyć w ogóle. Muszę się przyznać, że nie chciałam w to uwierzyć. Wydawało mi się, że to jest tak głębokie nadużycie, zaprzepaszczenie szansy na wolną Polskę, że nie powinien się Jaruzelski o takie coś pokusić. Tak mi się zdawało wtedy. A tu po prostu ktoś na tym dworcu był, kto przyjechał po kogoś, samochodem? Ale to nie mógł samochodem, bo już nie wiem, czy wtedy można było jeździć samochodem? Nie wiem, jak to było. W każdym razie ktoś się znalazł i mówi, że „po panią byli w nocy”. „Po panią byli w nocy”.

Wanda Milewska: W domu?

Teresa Maria Klimek: Tak. No trudno, ale przecież nie będę tu nocować, tylko siadłam w pociąg i pojechałam. Na dworcu był po mnie mąż. Przyszedł i mówi: „O 12:00 w nocy gdzieś tak przyszli po ciebie i ciebie nie było, i ja im nie powiedziałem, gdzie ty jesteś, powiedziałem, że nie wiem, gdzie ty jesteś”. No i był dylemat. Muszę powiedzieć, że wtedy przynajmniej dziesięć osób ofiarowało mi schronienie. I to osoby nawet zaangażowane partyjnie, w PZPR. Chciały mi ofiarować schronienie i przechowywać mnie. Ale nie chciałam z tego skorzystać. Nie chciałam z tego skorzystać, dlatego że wyobrażałam sobie, że to się za chwilę skończy, przecież to tylko na kilka dni ten stan wojenny, tak sobie wyobrażałam. Niestety. I po co... Przecież ja nic złego nie zrobiłam, nie muszę się ukrywać, działałam zawsze zgodnie z prawem. I wtedy przyszedłam do domu, i tego dnia już po mnie nie przyszli, ale muszę przyznać się

też, że poszłam jeszcze do zarządu regionu. I tam nie wolno było wejść, byli jacyś milicjanci, ale ja powiedziałam, że ja zostawiłam tu swoje rzeczy. I oni mnie wpuścili. Naturalnie moja szafka, Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania była całkiem rozwalona, bo musieli otworzyć, to wyłamali zamek i wyłamali drzwiczki, i wszystko zabrane. Tak że tam nic nie było. I ja powiedziałam, że coś do ubrania zostawiłam swojego. Trochę skłamałam, muszę się przyznać. Bo chciałam wejść, zobaczyć. I oni powiedzieli, że już muszę wychodzić, jak ja już nie znalazłam tego... Ja mówię, tu gdzieś był mój szal czy coś tam, ale nie znalazłam. „No to już pani ma wychodzić”. No to wyszłam no i jeszcze wtedy spotkałam kogoś i ktoś mi proponował, żebym poszła do nich do domu, że duże mieszkanie, domek jednorodzinny, będę miała osobny pokój i w ogóle wspaniale, i tak dalej, i ja powiedziałam, no dziękuję, nie, jednak pójdę do domu. I poszłam do domu przed godziną milicyjną, i nie przyszli tego dnia. A tu przyjechał syn z Poznania, ten, który był w Poznaniu, Kazimierz, i on mówi, mam, ja nie mam dowodu osobistego. Czy nie ma tu gdzieś dowodu osobistego mojego? I szukaliśmy jego dowodu osobistego, i nigdzie nie znaleźliśmy. No więc on przenocował, ja się bałam, że oni przyjdą po mnie, to i jego jeszcze zgarną, i w końcu nie znalazł tego dowodu, i pojechał na drugi dzień bez dowodu. Takie były przygody różne. A na drugi dzień, to był poniedziałek, spotkałam rano Bełza Zbyszka, pod katedrą, i on mówi, że on będzie się ukrywał. A ja mówię, no tak, ale ja nie, ponieważ ja nie mam takich warunków. On jest młody...

Wanda Milewska: On wtedy jakąś funkcję sprawował?

Teresa Maria Klimek: On był w zarządzie regionu i on był właściwie... Takiej funkcji specjalnej nie miał, ale był w zarządzie regionu i on zdobył najwięcej głosów w wyborach. Muszę przyznać, że Borowski dopiero drugi był. Ale on nie chciał być po prostu...

Wanda Milewska: Ale Edward Borowski został przewodniczącym Solidarności?

Teresa Maria Klimek: Tak. Edward Borowski został wtedy przewodniczącym. I tak się rozstaliśmy, tylko on mi powiedział, że ci, którzy są, żeby się spotkali pod ołtarzem Matki Boskiej Częstochowskiej o 16:00, w katedrze. Więc ja poszłam na tę 16:00 do katedry pod obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, tam był Rysiu Sawicki już, i dowiedzieliśmy się, że mamy zebranie takie konspiracyjne, że tak powiem, w ciepłowni na ulicy Cichońskiego. Jeszcze ta ciepłownia stała. Teraz jest zburzona i na miejscu tej ciepłowni jest bazar. Tak, tam była ciepłownia. I poszliśmy tam do tej ciepłowni z Rysiem. I tam było spotkanie takie krótkie, że będzie strajk i że zakłady mechaniczne i Stilon robią strajki, i teraz gdzieś się przyłączyć czy tak dalej. I takie było orientacyjne. I tak był podany taki punkt kontaktowy, gdzie mamy zgłaszać, gdzie kto będzie chciał, i to niby nasze konspiracyjne sprawy, no ale różnie to mogło być, ponieważ ten, który tam pracował, w tej ciepłowni, to o nim się potem mówiło, że to on był na usługach. Więc on wszystko wiedział przez to. No nie wiem, czy to jest do końca prawda. Nie, nie wiem.

Wanda Milewska: A nazwiska nie może pani podawać?

Teresa Maria Klimek: Proszę?

Wanda Milewska: Nazwiska?

Teresa Maria Klimek: Rysiu Kotarski. O nim się tak mówiło, nie, potem. No nie wiem. Do dzisiaj nie wiem. I może lepiej nie wiedzieć takich różnych rzeczy. W każdym razie, gdy wróciłam do domu, to na klatce schodowej na dole stała moja sąsiadka i mówi: „U pani siedzą”. Aha, u mnie siedzą. No to ja wyszłam na ulicę i zaczęłam po ulicy spacerować, spacerować, to już niedługo ta godzina milicyjna, a ja spaceruję, spaceruję, bo tam 20:00 to była chyba. Czy któraś. Ja spaceruję, spaceruję. Ale spotkałam jednego ucznia swego i ja mówię: „Marek, idź”... dawnego, już absolwenta, studenta, ja mówię: „Marek, idź do mnie do domu i zobacz, co się u mnie w domu dzieje”. A potem: „Po co ja go w ten kocioł wysłałam?. Co to będzie?” Bo tak się mówiło, kocioł. Ale on przyszedł za chwilę i mówi: „Nie, pusto jest. Pani mąż otworzył i pusto jest”. No więc ja poszłam do domu i mówię, no dobrze, bo 20:00 już dochodzi, ale nie chciałabym, żeby mnie na ulicy gdzieś tam złapali. Po co. I za chwilę przyszli. To był poniedziałek. Przyszli i mówi tak: „To pani się jutro zgłosi na godzinę tę i tę, gdzieś tam”, pisze mi takie wezwanie, „i pani mąż też”. No i mężowi napisali i mnie te wezwania. Ale ja wzięłam to wezwanie i ja mówię: „Proszę pana, niech pan mi powie, jak pan mówi, że tam będziemy rozmawiać, po jakiemu będziemy rozmawiać? Bo ja rosyjskiego nie znam”. I on się tak zdenerwował, że wziął tę część, co miał zabrać, odwrotnie, co miał zostawić, a zabrał tę część, co miał mi zostawić. Czyli ja nie wiedziałam, na którą godzinę jestem wezwana. I się ucieszyłam, i powiedziałam, nie pójdę, ponieważ on zabrał tę część dla mnie, gdzie była ta godzina wezwania. A zostawił mi tylko mój własny podpis, że ja odebrałam. A tam nie było napisane, co nawet. Ale mąż poszedł. Mąż poszedł i ja może powiem o mężu. Bo mąż miał bardzo ciekawe tam zdarzenie. Przyszedł i powiedzieli mu, że naturalnie będzie zaraz zwolniony, tylko ma podpisać świadectwo lojalności. Świadectwo lojalności, czyli popularnie lojalkę. I on odmówił. „No to, proszę pana, niestety będzie pan internowany”. I wyszli ci, i został tylko taki jeden młody esbek. I mówi: „Proszę pana, niech pan mi uwierzy, wolałbym być na pana miejscu niż na moim”. Naprawdę taki człowiek odważył się to powiedzieć, młody. Więc czasami różne zdarzenia się działy. I ja tak wierzę w człowieka. Cały czas wierzę w człowieka i to mi się potwierdza. Że wszędzie można spotkać tego człowieka. I to męża też podtrzymało na duchu, takie powiedzenie tego młodego esbeka. I go wzięli do... To był wtorek rano, a ja sobie pochodziłam trochę po mieście, poszłam do kościoła, wróciłam do domu i „dzyń”, przyszli po mnie. Niech pan się ubiera, jedziemy. A ja mówię, no tak, ale syn nie będzie wiedział? Myślałam o tym drugim, który mieszkał w Gorzowie, synu. Że syn nie będzie wiedział, gdzie ze mną. A mąż? „No męża zatrzymaliśmy”. Aha, no muszę wziąć mu w takim razie szczotkę do zębów i te różne rzeczy spakować. No ja byłam spokojna. Bo wiedziałam. Tylko nie wzięłam tych rzeczy, które sobie przygotowałam.

Wanda Milewska: To znaczy?

Teresa Maria Klimek: Wzięłam dla męża rzeczy, a nie wzięłam tych swoich. Zapomniałam. Zmianę bielizny i te różne rzeczy takie, które sobie przygotowałam. To akurat nie wzięłam. A on mówi tak: „To niech pani zadzwoni do syna”. Ja mówię: „Przecież jest głuchy telefon”. „Rzeczywiście”. No i potem, jak mnie wiozł, w drodze mówi: „Proszę pani, pani tak starała się bronić wszystkich. A kto pani będzie bronić? Pani nikt nie będzie bronić”. Ja mówię: „Nie wiem, to już nie ode mnie zależy”. Tak po drodze mnie zabawiła rozmową, zawiózł mnie do Wawrowa. I wtedy odkryłam, że oni jechali z bronią, ponieważ nie wiedziałam o tym, że na bramie więziennej oni musieli zdać broń. Ich na teren więzienia nie wpuścili z bronią. To było takie nieprzyjemne, jak oni zdejmowali te pasy i kładli tam z tą bronią swoją.

To było takie przykre trochę. No nie wiem. Bo mogłam się spodziewać, że mają broń, ale mimo wszystko to było takie przykre. I ja wchodzę tam, a tamten mój uczeń podbiega do mnie, żeby się ze mną witać. Może on myślał, że ja z ramienia Solidarności coś przychodzę patrzeć, jak tam inni internowani się czują. A ja mówię: „ja jestem aresztowana, nie podchodź do mnie, Arek”. A ten esbek mówi: „Nie aresztowana, tylko internowana”. Ja mówię: „to wszystko jedno, nie widzę różnicy”. Tak powiedziałam. Trochę tak może czasami mówiłam, ale spokojnym głosem starałam się zawsze mówić. Nigdy żeby nie być taka agresywna. Nie budzić agresji, tylko spokojnie. I tak trzymali nas tam jakiś czas, bo tam były już trzy dziewczyny... Nie, dwie. Była Krysia Koper i była Agnieszka Wiśniewska. A pozostałe to już były w Poznaniu, wywiezione wcześniej. A one jeszcze dwie tam były i ja jako trzecia.

Wanda Milewska: To jeszcze pani Hejmanowskiej nie było czy już była...

Teresa Maria Klimek: Ona już była w Poznaniu, bo ona była wzięta... Ona nie miała tej ulgi, co mnie się udało, że ja byłam na tych rekolekcjach w Rokicie. I to mnie ominęło. I wtedy miałam dłużej. I tak jest na tym... Zresztą trzynasty poprawiony jest na piętnasty na tym moim nakazie internowania. I wtedy za jakiś czas wsadzili nas do takiej, to się nazywa brzydka, suka. To jest taka duża więźniarka, taki duży samochód jakby ciężarowy i wchodzi się do takiego przedziału, tam był taki jeden wielki przedział. Potem, jak będę mówiła o więzieniu już, No to będę mówiła o tym, jak jechaliśmy do tej Gołdapi, bo ja byłam w tej więźniarce, która się przewróciła, uległa wypadkowi. To też, jak to było, jak to wszystko... Tam była taka też przygoda ciekawa. Ale tutaj, wracając do tej sprawy, to był taki jeden duży przedział, takie ławki, drewniane naturalnie, i kilku zomowców. Kilku zomowców, to było ZOMO, nas wiozło do Poznania, odstawiało. Po drodze wjechali jeszcze na Obotrycką i tu zabrali Anię Marczyk. Tak że Ania Marczyk, która się ogromnie ucieszyła, że ja nie jestem, bo myśmy się znały. I że jakaś starsza osoba jest, a one wszystkie młodsze dziewczyny, a ja starsza trochę. No nie taka stara jak teraz, ale zawsze starsza. Bo to dwadzieścia pięć lat temu. I teraz co? No i jedziemy, a ja naiwniutka. W kieszeni kożucha miałam kartkę, taką pocztową i taką ze znaczkami, co od razu jest już, taka gotowa, i ołówek. I zaczynam pisać: „Wiozą nas w kierunku Poznania” i tak dalej. I mówię do tego jednego zomowca: „Proszę pana, pan to wrzuci do skrzynki”. On mówi: „Dobrze”. I zabrał. Nigdy ta kartka nie przyszła, naturalnie. No ale naiwność moja. W każdym razie najprzykrzejsze wrażenie było takie, że w Poznaniu, jak nas na ulicę Młyńską zawieziono do tego... właściwie tam jest zakład karny i areszt śledczy razem, do tego aresztu śledczego, to nagle znalazło się ze dwudziestu tych zomowców. Jakieś psy czekały strasznie i jakieś punktowe... wszędzie ciemno, tylko punktowe światło. Takie punktowe światło na ścianę taką. I krzyki: „Pod kratę, pod kratę, pod kratę”. I wtedy była u mnie taka myśl: będą rozstrzeliwać. No bo psy nagle jakieś, ujadanie psów, tylu tych zomowców, my cztery i ze dwudziestu zomowców... Może było ich mniej, ja nie wiem, ale wydawało się potwornie. I „pod kratę, pod kratę”. No więc pod kratę. A nie wiedziałam, że jak prowadzą innych więźniów, to jedni muszą stać tyłem pod ścianą, żeby nie widzieć, kogo prowadzą. Tego nie wiedziałam, że takie są różne przepisy więzienne. Chociaż starałam się dość dużo wiedzieć, jak w tym więzieniu jest. Tak jeszcze wrócę może, dygresja mała. Że dlaczego ja tak starałam się dowiedzieć wszystkiego o tych więzieniach? Bo kilkoro, albo nawet więcej, członków mojej rodziny, takich z pokolenia o jedno wyżej ode mnie, czyli moje ciotki i wujkowie, zginęło. Ciotka była rozstrzelana w Ravensbrück, rozstrzelana miała nakaz rozstrzelania, ponieważ podrabiała na aryjskie żydowskie kenkarty, więc na tym była złapana i Niemcy jej dali wyrok śmierci, i była rozstrzelana w Ravensbrück. Był też wujek w Oświęcimiu, który zginął, wielu znajomych zginęło w Oświęcimiu i ja przez pewien czas, bardzo dużo czytałam o obozach. Po prostu jakiś

miałam taki okres w życiu, że czytałam wspomnienia z obozów, w ogóle na temat obozów monografie, Ravensbrück, szczególnie Oświęcim, Dachau, bo też zginął jeden, w Dachau jeden jeszcze zginął, też bliski dosyć członek rodziny. Tak że no po prostu byłam tak jakoś obeznana i wiedziałam, że jak jest się w więzieniu czy w obozie, to trzeba się organizować jakoś. Wiedziałam, że nie można dać się tak na ubocze tylko odsunąć, tylko samemu trzeba jakoś coś organizować. Taka była moja jakby dewiza. Żeśmy zostały jakoś poprzydzielane i ja byłam z Anią Marczyk do tej samej celi. Cella wyglądała tak, 8 metrów kwadratowych...

Wanda Milewska: W Poznaniu jesteście?

Teresa Maria Klimek: W Poznaniu. Dwa na cztery... Na cztery osoby przeznaczona, czyli łóżka piętrowe, i mały, ja nazywałam to, pół stolik, czyli jak pół tego może, albo jeszcze węższy, małe taboreciki, twarde, wysokie, ale ja lubię na twardym siedzieć, to nie jest źle, i jeszcze to, co najgorsze, ten kącik. To znaczy umywalnia i sedes. I to wszystko razem. Był taki niziutki parawanik drewniany, taki jakby płotek odgradzał, ale niziutki taki. To nie było takie łatwe. I byłyśmy w tej celi. I ja od razu zaczęłam takie rzeczy różne robić. Spisywanie, kto jest w celi, a kto w następnej celi. Krzyk przez okno: „Kto tam jest w tej celi?” i tak dalej. I spisywanie: imię, nazwisko, skąd? Z Leszna. „Aha, dobrze. A Ty?” – „A ja tam jestem z Choszczna”, a tam tego, wie pani. I tak mi się udało, że miałam wszystkich internowanych w Poznaniu. Bo tam było ich ze trzydziścioro. Bo z Gorzowa było dziesięcioro. To dużo. Z Gorzowa było dziesięcioro, z Poznania też może z dziesięcioro, potem tam były z Sieradza, z Leszna, z Konina, nie, z Konina nie. Z Kutna też nie. Tam były jeszcze z Wałcza... Tak że z różnych miejscowości zwożono do Poznania. I tam byłyśmy. No naturalnie była taka sławna kobieta, Izabela Cywińska, bardzo fajna dziewczyna, bardzo świetna, dyrektorka Teatru Nowego, no było dużo wspaniałych dziewcząt. I różne przygody. To już nie wiem, czy warto o tych przygodach.

Wanda Milewska: Ale mogłyście spotykać się na spacerach?

Teresa Maria Klimek: Nie. Na spacerach czasami, ale nie wszystkie cele ze sobą.

Wanda Milewska: Z jednej celi była Cywińska? Nie?

Teresa Maria Klimek: Nie, nie, nie, z innej. Tak że ja Cywińską dopiero poznałam, jak już wtedy był kontakt, nie, już taki... A tak to tylko wiedziałam, że jest Iza Cywińska, fajna dziewczyna. I patrzyłam przez okno, jak ona była na spacerunku, bo my w innym czasie miałyśmy spacer, a ona w innym, ale mi się podobała. Patrzyłam przez to okienko, tam się wspinałam. Co było tam jeszcze ważnego? Na pewno było dużo...

Wanda Milewska: Ile dni byłyście w Poznaniu?

Teresa Maria Klimek: W Poznaniu do 10 stycznia. Ale tam przyjeżdżali do nas już z odwiedzinami. Pierwszy przyszedł mój syn, który mieszkał w Poznaniu, on się dowiedział od dominikanów, że ja jestem w Poznaniu. I przyszedł mnie odwiedzić.

Wanda Milewska: Od dominikanów? A dominikanie skąd wiedzieli?

Teresa Maria Klimek: Może tak, na początku strażniczki. Surowe, nie wolno siadać na łóżku, cały dzień tylko na tym twardym zydelku, jak to poznaniacy mówią, i cały dzień tylko... No, wiadomo. Potem jakieś książki można było pożyczyć, ale to były takie książki różne nie bardzo ciekawe do czytania, w bibliotece. I przyszedł mój ten syn. I najpierw te strażniczki... Właśnie, może wracając do strażniczek. I potem one się przyznały, że im powiedziano, że my wszystkie miałyśmy broń w piwnicy. Granaty, broń, i dlatego jesteśmy zatrzymane. Ale potem to one już też zmądrzały, nie? Chodziły przecież do domów, one nie były tam na stałe, tylko miały swoje dyżury. I było już całkiem inaczej. Już patrzyły przez palce na wiele rzeczy. Mogłyśmy już siadać na łóżkach, w ciągu dnia można było się położyć nawet, i takie różne rzeczy. Zimno było, ponieważ był popsuty kaloryfer, ale myśmy zgłaszały i przychodził więzień nam naprawiać. I ten więzień, jak nam naprawiał kaloryfer, a myśmy już zaczęły dostawać te paczki trochę z domów, jakieś z żywnością, no to my albo puszkę mu jakąś dałyśmy, pytałyśmy się strażniczki, czy wolno, żeby tam za jej wiedzą, żeby ona potem jemu nie zabrała. No to ona już też zgadzała się. Tak że taki kontakt nawiązałyśmy. Tam też była taka jedna... Bo kobiety, które były tam, więźniarki, zostały zabrane, gdzie indziej przewiezione. Ale taka Bogusia została, więźniarka, i ona nas uczyła, jak to ścielić łóżka, bo to muszą być specjalnie pościelone na kantek.

Wanda Milewska: Jakaś pościel była? Jaka była pościel?

Teresa Maria Klimek: No pościel jak...

Wanda Milewska: Normalna taka?

Teresa Maria Klimek: Nie, nie bardzo. Prześcieradło, prześcieradło i koc. I pod głowę jakiś jasiek, napęczniony jakimiś twardymi takimi... jakby z drzewa, takie...

Wanda Milewska: Trociny?

Teresa Maria Klimek: Trociny, takie grubsze trociny. Nie takie miękkie, tylko takie grubsze trochę trociny. Coś takiego było. Ale to jeszcze najmniejsze sprawy. No więc ten zimny kaloryfer, i tamten więzień przychodził, naprawiał i jakoś tam naprawił nam, że potem już było trochę cieplej. No ale wie pani, to była taka jeszcze rzecz, że nie było zmiany bielizny. Ja nie miałam zmiany bielizny. Nie wszystkie miały. Niektóre miały, niektóre nie miały. I teraz... I przyjeżdżali do nas esbecy na rozmowy. Z tym, że ja muszę przyznać się, nie miałam nigdy żadnej propozycji. Ani lojalki, ani współpracy, ani żadnego. Nic. Nigdy mi nic nie proponowali, tak że nie miałam tego szczęścia. Tylko byłam od razu tak traktowana sobie... Ale przyjechał pan pułkownik. Nie wiem jak ma na imię, Nazwisko: Kawala. I do mnie mówi: „Pani uczyła mego syna. On nie był dobry z matematyki”. A ja mówię: „Wie pan, to nie po tym się poznaje wartość człowieka”. Tak mu coś powiedziałam. „No proszę pani, no jak pani się czuje, jak tego, czy pani tego”... Ja mówię: „Proszę pana, najważniejszy jest mój mąż, bo on ma słabe zdrowie”. „A mąż to samo mówi o pani”. Ja mówię: „Ale ja mówię prawdę”. „No to pani obiecuję, że będzie zwolniony”. Powiedział mi tak. I faktycznie 24 grudnia go zwolnili. Na Wigilię akurat. Ale mnie nie. I tak było. Wie pani co, była też taka rzecz, nagle: „Pani chciała do psychologa”.

Bo tam, jak się drzwi otwierają, to najpierw tak „bu, bu, bu, szcęk”, bo to te wszystkie zamki, „ciach, ciach, ciach”, i to dopiero wiadomo, że otwierają się drzwi. Wchodzi ta strażniczka. „Pani chciała do psychologa”. „Ja? Nie, absolutnie nie” – „A pani zgłaszała”. „Nie, nie zgłaszałam” – „Tak? Proszę iść”. No jak iść, to iść. To idę do tego psychologa. „Proszę pani, a pani wie, co zrobił ten pani Pinior?” „Jaki Pinior?” – „No ten z Wrocławia. Zabrał pieniądze z banku. Wybrał”. A ja mówię: „O, jakie szczęście, mądry człowiek”. Bo to wtedy było, że Pinior zdążył wybrać pieniądze we wrocławskim oddziale Solidarności. Nie wiem, czy pan pamięta taką rzecz? A ja mówię: „To szczęście, to bardzo mądre”. „No a on to do własnego użytku”. Ja mówię: „Na pewno nie, my mamy do siebie zaufanie. My na pewno nie do własnego użytku”. A ten psycholog... I on mi powiedział jedną rzecz. Ja tak się zastanawiam, czy ja to mogę powiedzieć. Powiedział: „U pani w celi jest wtyczka”. Tak mi powiedział. A ja udałam: „A, proszę pana, tak się może wydawać”. Ale jednak wzięłam to pod uwagę. Tak jednak pomyślałam, że jednak po co on to mówi? Potem on tak: „A pani chce papierosy?”. To był wtedy kasek, bo to były papierosy na kartki. Ja mówię: „Ja nie palę” – „To pani da koleżankom”. „No dobrze” – „Ale niech pani schowa”. I kazał mi tak pochować tu, w te rękawy, chyba ze cztery paczki mi dał tych papierosów. Tu dwie i tu dwie. Ja wzięłam. Potem myślę sobie, co ja narobiłam? No, ale wzięłam te papierosy. Przyszłam do nas, do celi, mówię: „Anka, mam papierosy”, bo Anka paliła i tam była taka Krystyna z Poznania, też paliła, ja mówię: „Mam papierosy, mogę wam dać”. Ale pomyślałam sobie, że przecież tak dużo pali Grażyna.

Wanda Milewska: Pytlak?

Teresa Maria Klimek: Pytlak. I tam gdzieś siedzi i ona tak dużo pali, pewnie nie ma. Więc zaczynam pisać gryps. „Grażynka, my tu siedzimy, tak, tak, tak, jesteśmy dzielne, tu trzymamy się, wy się też trzymajcie” i tak dalej. I otworzyłam paczkę papierosów, włożyłam ten gryps zakleiłam jakoś, udało mi się to jakoś tak zgrabnie zrobić, że nie było widać. I dzwonię po strażniczkę. Strażniczka: „Proszę bardzo?”. Ja mówię: „Proszę pani, ja mam taką prośbę, my mamy papierosy, a moja koleżanka pali i nie ma papierosów. Czy pani może jej podać do celi?” – „A gdzie siedzi?”. A ja tam mówię: „My tutaj 22, a ona tam 26” czy tam ileś, już nie pamiętam tych numerów tak dobrze. „No dobrze”. I podała Grażynie. A Grażyna w ogóle nie patrzyła. Wyjęła papierosy, spaliła, pudełko wyrzuciła i grypsu nie nalaża. Czyli moje starania poszły na nic. A chciałam po prostu napisać do nich karteczkę i wykorzystałam tę okazję. I tak jakoś Wigilia, no była smutna. Ja czasami myślałam, że nas przed Wigilią wszystkich zwolnią. No miałam tę nadzieję. Nie. Wigilia. Potem miałyśmy raport, nasza cela miała karny raport, Śpiewałyśmy przy otwartym oknie kolędy. Raport karny dostałyśmy. Upomnienie tylko na razie było i wpisanie do akt: raport karny. No nic. I tak minęła ta... Potem przyjechał mój mąż z odwiedzinami i ja pisałam wtedy... Pisałam codziennie kilka słów. I to musiałam bardzo przechowywać, ponieważ jak myśmy wychodziły na spacer, to oni czasami przeszukiwali cele i zabrali, co im się nie podobało. Więc jakoś musiałam to ze sobą zawsze nosić, gdzieś tak starałam się. I jednego dnia mu to podałam, tak że to się uratowało akurat. I te zapiski to takie głupie zapiski, „a dzisiaj na obiad kapusta”. „Zupa kapuśniak, a na drugie kapusta”. O, coś takiego. I takie różne, co tam się działo tego dnia. I ja sądzę, że strażnik widział, jak ja mężowi wsuwałam do kieszeni. Ale udał, że nie widzi. I myślę, że były takie małe oznaki jakiegoś sprzyjania sobie. Że nie było takiej postawy wrogiej u strażników więziennych. Potem zaczął przychodzić do nas ksiądz, dominikanin, Odprawił nam mszę świętą, komunię podał, wyspowiadał, kto chciał. Tak że były takie różne... Pisałyśmy podanie, naturalnie, i tylko te, które napisały podania, bo to każdy... W więzieniu, to jest taka rzecz, że każdy musi w swoim imieniu. Nie

ma zbiorowości. Nie wolno, żeby coś było zbiorowe. Tylko każdy w swoim imieniu. Więc tylko te, które napisały to podanie, to one były tam zaprowadzone do świetlicy i tam była ta msza święta i to jakieś po prostu wspólne bycie. Ale raz przyszedł... I ja pamiętam, jadłyśmy śniadanie, „puk”, otwierają się drzwi, „trzask, trzask, trzask”, ksiądz z komunią świętą. A my jemy śniadanie. Ksiądz mówi: „Nieważne. Można przyjąć komunię świętą, można, naturalnie”. A mnie było tak strasznie przykro. I ja potem kilka razy o tym opowiadałam, i ludzie się dziwili, że mnie było przykro. Że tu jest ten kącik, ten sedes, i tu przyjmowanie komunii świętej. Jakoś dla mnie to było takie bardzo jakieś bolesne. A potem inni się ze mnie śmiali, że ja to tak odczuwałam bardzo akurat. W przeddzień zaczęli nam już wydawać nasze rzeczy. Tam w więzieniu jeszcze było dużo rzeczy takich dla nas niezrozumiałych. Na przykład co wieczór ubrania były wystawiane na korytarz. Zostawałyśmy tylko w tym stroju nocnym. A wszystko trzeba było wystawić na korytarz. I to rano zabierać, wieczorem wystawiać. Takie zwyczaje więzienne. I to się nazywało „kosteczka”. I na początku: „kosteczka”, a my nie wiemy, co to jest „kosteczka”. Co to jest „kosteczka”? „No wystawić wszystko na korytarz”, pouczyła nas. Takie różne zwyczaje więzienne, które dla nas były nowe, zupełnie jakieś obce. Ja myślałam ciągle, że nas zwolnią szybko. Ja ciągle miałam taką nadzieję, że jak to, tak długo? No to do świąt. Myślałam, że na święta. Potem myślałam, no zaraz potem chyba będzie zwolnienie. No dopiero potem, wie pani, straciłam trochę tę nadzieję, jak nas wieziono do Gołdapi. Ale może jeszcze jedno powiem. Był sylwester i puścili nam, bo to wtedy przez radio szła msza święta, pasterka, którą prymas odprawiał. I nam puścili przez głośniki. Ale ja patrzę, w Poznaniu noc sylwestrowa, a tu te wieżowce, co z daleka były widoczne, ciemne. Wszystko ciemno. I zaraz, gdzieś po Nowym Roku, przyszedł ten syn, co w Poznaniu mieszkał, do mnie w odwiedziny, ja mówię: „Kaziu, czemu tak ciemno było w Poznaniu?”. „A mama nie wie. Na znak solidarności ludzie zgasili światła”. Od dwunastej w nocy tam do którejś były zgaszone wszędzie światła. Więc gdzie się paliło światło, to znaczy, że... Bo to w kościołach zapowiadali księża. I wtedy naprawdę stanęły mi łzy w oczach. I ja sobie pomyślałam, jaka jest solidarność ludzka, jaką ma wymowę. Zgasić światła. I jest to solidarność. Dziewiątego wieczorem nagle wydają nam nasze rzeczy, te, które były w depozycie, czyli zegarki, te wszystkie nasze... co było zabrane do depozytu, i każdemu dają kawał słoniny, naprawdę, kawał słoniny, pół chleba chyba i cebulę. Po dwie czy po trzy cebule, już nie pamiętam. Przydział każdy dostaje. I wszyscy mają tę samą myśl. Na Sybir. Słonina i cebula, chleba kawał i na Sybir pewnie. I rzeczywiście następnego dnia, to było dziesiątego rano, dwie więźniarki, ale te więźniarki to były takie, inne, że tu się wchodziło, jedno drzwi... Przepraszam, tu, z tej strony były drzwi, tu nie. Tu się wchodziło i tu jeden przedział i drugi przedział. Tu drzwi. Tu nie ma. Tu był kierowca, gdzieś siedział, tu taki oddzielony ten kierowca, tu tam jeszcze jakiś, tu zomowców kilku, w tym takim przedsionku, i tu jeden przedział, i drugi. i twarde ławki, i w dodatku takie, że tylko można było siedzieć tak prosto. Nic tak nie można było się oprzeć. Tylko tak tutaj. Bardzo niewygodne. I takie ławeczki. I takie dwie więźniarki na trzydzieści osób, czyli tak do jednego przedziału mniej więcej po siedem osób wychodziło, albo osiem. I w drogę. Gdzie jedziemy? Nie wiadomo, nie wiadomo, nic nie wiadomo. Nic nie wiadomo. Nic nie wiadomo, gdzie. Na Syberię? Na Syberię. Na Syberię, dobrze. I teraz tak, zimno. Mróz, jak wiemy, 10 stycznia mrozy, wtedy ta zima dosyć taka ostra była. A jak włączyli ogrzewanie, to spaliny do środka. Bo to tak zwane łaźnie Moczara, te więźniarki. Żeby uśpić – spaliny. I jak zaczęłyśmy... no po prostu torsje mieć, a tu ani wysiąść, ani stanąć, tu, w polu, nie możemy, bo was odbiją. Odbiją. Kto nas odbije? Nie mogą stanąć w polu, bo nas odbiją. Wie pan, no to była makabra, trzeba przyznać. No to wyłączyli to ogrzewanie, to już przynajmniej... Zimno, ale tych spalin nie ma. I tak przytulone jedziemy. Dopiero stanęli w Grudziądzu. I w Grudziądzu, na posterunku milicji, powiedzieli, że tu będzie taki szpaler, tu się ustawiło sporo zomowców i teraz każda ma iść do tego... tu ten posterunek, i wrócić.

I powiedzieli, dopiero jak jedna skorzysta i wróci, to następna pójdzie. No to ile by trwało? Trzydzieści osób. Więc my mówimy, że nie no, tego... „A nie, dwie razem nie mogą”. No ale w końcu pozwolili i chodziliśmy już tam ileś razem. Bo przecież tam było kilka możliwości, kilka ubikacji, i można było wykorzystać. Ale tu tym szpalerem. Ja mówię, na szczęście nie ma ścieżki zdrowia. Bo szpaler stał, ale nic nie było, żadnych rękoczynów. I tak żeśmy wykorzystały to, w Grudziądzu to było, i dalej. Jedziemy, jedziemy, już jest noc, ciemno całkowicie wszystko. I w końcu światełka tylko, ale to my nie widzimy nic, bo tam okienek nie ma, tylko gdzieś jakaś szpara, jak jest, no to już tam oczko się przykładało, żeby coś zobaczyć. I w końcu trzask, i nasza więźniarka upadła. Przewróciła się. Ale przewróciła się tak, że na te drzwi, jedne jedyne drzwi, które były. Więc ci zomowcy zaczęli rozkręcać okno, takie w suficie co jest. Nie mogli rozkręcić, bo było wszystko zardzewiałe. I teraz jak tu się wydostać? Niektórzy chorzy. Teraz tak, jak ten przedział tu, ja byłam w tym przedziale, a tu była taka cienka ścianka działowa, czyli myśmy upadły na tę ściankę działową. I bałam się, że jak się ta złamie ścianka, to my ich zgnieciemy, te, co są na dole. I jak tu teraz... Potłuczony człowiek, nie wie, jak tam co tam wygląda, bo ciemno, wszystko ciemno. W końcu odkręcili to, przeklinając, naturalnie, odkręcili ten włącznik i nas wydobywali w śnieg po pas. Bo wszędzie śnieg. Tak że no było to wesołe z jednej strony. Ta jedna więźniarka się wyrzuciła. I teraz tak... A tamta była pierwsza i ona pojechała już sobie. No ale gdzieś się tam jakoś porozumieli, że ona czekała na jakimś posterunku milicji, najbliższym tam gdzieś. I teraz, tej więźniarki oni już nie ruszą, nie odwrócą, nic. Powyjmowali nas do tego śniegu, a ja jeszcze miałam w pudełku z proszkiem do prania list od tej Bogusi, więźniarki, która mi opisała szczegółowo, jak ona zabiła swego męża. I ja to wiozłam, żeby to nie wpadło w ręce niczyje. A ona mi taką spowiedź swojego życia napisała na kartce i kiedyś mi podała, ta w Poznaniu, co była. I ona jakoś tak pragnęła się komuś wypowiadać, jak to ona tego męża zabiła. I w jakich okolicznościach, i wszystko tam było napisane. Chyba osiem arkuszy papieru kancelaryjnego, taka spowiedź jej życia. I ja to tam złożyłam do tego proszku, przechowywałam, żeby to nie wpadło w czyjeś ręce. Nie mogłam do ubikacji, bo się bałam, że to się zapcha, więc musiałam ze sobą wieźć.